

anna janko

dziewczyna z zapalkami



anna janko

dziewczyna z zapalkami

**Wydawnictwo Nowy Świat
Warszawa 2007**

© Copyright by Anna Janko, 2007

© Copyright by Wydawnictwo Nowy Świat, 2007

Projekt okładki: Agnieszka Herman

Redakcja: Anna Świtalska-Jopek

*Autorka dziękuje stypendiodawcom: Ministerstwu Kultury
i Samorządowi Województwa Pomorskiego*

ISBN 978-83-7386-237-1

Wydanie I

Warszawa 2007

Wydawnictwo Nowy Świat

ul. Kopernika 30, 00-336 Warszawa

tel. (22) 826-25-43

faks (22) 826-25-47

internet: www.nowy-swiat.pl

e-mail: wydawnictwo@nowy-swiat.pl

Wysłałam za mąż jak na wolność, a już o czwartej nad ranem gonił mnie stukot moich własnych obcasów na pustej ciemnej ulicy.

Jakieś pięć metrów przede mną, w mętным świetle latarni, szedł szybko prawie biegnąc ten obcy facet, który był moim mężem i co minutę wściekłym głosem rzucał za siebie: Prędkiej! prędkiej! prędkiej!

Noc poślubna była krótka i bez znaczenia, ponieważ o 4.45 odchodził ekspres do Warszawy i trzeba było zdążyć na dworzec. Autobusy miejskie drzemały w zajezdni, a my, nowo poślubieni, niewyspani i pełni wzajemnych pretensji, pędziliśmy w ciemnościach przedświt, oblani potem, w ciężkich kożuchach (na wszelki wypadek, gdyby wróciła zima...), z torbami podróżnymi, które co chwila, z gwałtownym szarpnięciem, zjeżdżały z ramienia w dół.

Oczywiście, gdyby to ode mnie zależało, wstaliibyśmy trzy kwadransy wcześniej. Ale co zależeć miało ode mnie, a co nie, tego jeszcze nie wiedziałam, tymczasem cały swój świat, wraz z czasem i przestrzenią, złożyłam w ręce Pawła, który jak dotąd robił wrażenie człowieka zorganizowanego i odpowiedzialnego.

Kiedy wpadliśmy do przedziału, poobracaliśmy się w wąskim przejściu upychając torby na półkach, zrzucając niewygodne, buchające żarem okrycia, kiedy wreszcie opadliśmy na siedzenia naprzeciwko siebie cali mokrzy i zziębnięci, spojrzałam na dużą świecąca twarz mego dwudziestojednoletniego męża i jęknęłam w duszy: A więc to TEN? Jak ja go wytrzymam...!

On zaś rozjaśnił się i klepnawszy mnie w udo, powiedział wesołym głosem: No to jedziemy, Hanuś!

**Rozczochrani, bez tchu, zakochani, potwor-
ni.** Są to słowa Wiktora Hugo, który ponoć pierwszej nocy posiadał swą żonę dziewięciokrotnie.

Z mojej podróży poślubnej pamiętam późne śniadania w wielkim pensjonacie, do którego dotarliśmy autobusem z Warszawy. Przedpołudniami Paw (zdobnienie imienia Paweł) przygotowywał się do egzaminu z prawa jazdy. Ja siedziałam wsparta na wysokich poduchach i czytałam *Mdłości* Sartre'a. Potem szliśmy na spacer brzegiem rzeki, pośród gnijących przedwiosennych badyli.

Płowa ścieżka pod butami, niebo szare, od czasu do czasu w gałęziach wysokich drzew błysk, jakby błękitnej chusteczki, wyszarpiniętej przez wiatr spomiędzy chmur.

Atlasowa kołdra w wielkim łóżu była chłodna, śliska i – różowa. Musiałam (to oczywiste) być naga, więc było mi zimno. Wolałabym spać, spać całą noc, ale musiałam być przytomna, bo to przecież była nasza podróż poślubna! Przez siedem kolejnych wieczorów spędzonych w pensjonacie przedłużałam kolacje, aby skrócić noc. Skupiałam się na dokładnym żuciu chleba z szynką, następnie z żółtym serem, i wreszcie z dżemem, który rezerwowo podawano tym, którzy nie mogli się nasycić daniem głównym. Potem, już w pokoju, z ochotą grałam w „refleks” kulką ugniecioną ze srebrnego staniolu. Byłam w tym lepsza od Pawia, wybuchałam szczerym śmiechem za każdym razem, gdy jego łapa, wielka jak pysk psa dużej rasy, zamykała się o ułamek sekundy za późno, a srebrna kulka z cichym cyknięciem spadała na parkiet. Bywało, że bawiliśmy się tak nawet godzinę, jak dzieci.

Potem już – trudno... W czarnych oczach Pawia ukazywało się drugie dno, czarniejsze i gorętsze niż smoła topniejąca w upał. Było mi od tego nieswojo i słodko zarazem. Bo to przecież z mojego powodu, przeze mnie i dla mnie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie było... niedobrze. Za szybko, za mocno i jakby – niedokładnie. Po każdym kolejnym akcie moje ciało błyskawicznie stygło pod tą lodowatą kołdrą, a ja miałam wrażenie, że ono, umęczone i rozczarowane, w ogóle nie było potrzebne w tej bitwie, choć wiadomo, że bez niego nie mogłoby dojść do żadnego starcia.

Pamiętne pierwsze lato w Sopocie. Słodki i gęsty sierpień, moje osiemnaste urodziny. Oto właśnie przeprowadziliśmy się całą rodziną z Wrocławia nad morze. Czekala mnie tutaj matura, studia, a następnie cała reszta życia. Uwielbiam zaczynać wszystko od nowa, w nieznanym miejscu, z innymi ludźmi, od nowego roku, od poniedziałku, od jutra...

Chodzę po deptaku sopockim nazwanym imieniem Bohaterów Monte Cassino w upalny dzień i usiłuję skojarzyć tę barwną rzekę ludzi, rozprażony tłum sunący jednocześnie w dół i w górę, ku moło i z powrotem, trący o siebie przeciwbieżnie, lecz przyjemnie, słodko – usiłuję skojarzyć tę ulicę, tak nazwaną, z czerwonymi makami na Monte Cassino, co „zamiast rosy piły polską krew”.

Czy wtenczas we Włoszech też tak prażyło słońce i był upał, gdy tamci chłopcy, spoceni, biegli po trawie z metalowymi rozgrzanymi narzędziami do zabijania w rękach? Czy ich podkoszulki pod mundurem były mokre i wydzielaly ostrą, podniecającą woń młodego potu i dojrzałej wojny? Czy pić im się chciało i któryś pomyślał o zimnej lemoniadzie z miodem? Albo o domowym sorbecie truskawkowym, który matka podawała w południe, na tarasie, zazwyczaj w niedzielę i to najchętniej wtedy, gdy przybywali z wizytą sąsiedzi? Czy któryś przypomniał sobie może, na ułamek sekundy, jak cudownie chłodne były wargi dziewczyny, gdy wróciła z lasu, przybiegła zgrzana, zdyszana, i przywarła do niego ciałem całym, twarzą, a wewnątrz jej ust było zimne i śliskie jak jedwabna chustka? Czy takie wspomnienie, tuż przed śmiercią, nie jest jak prezent od życia, które właśnie się

żegna, w upale pogody, w płomieniach krwi pędzącej przez tętnice, w ogniu wojny, która wybucha zawsze z winy życia?

Szłam sobie, tak myśląc niezobowiązująco wobec historii, pojednana z tłumem, i zaglądałam przez szyby do rozmaitych sklepów, do jubilera, gdzie leżały prawdziwe korale, ręcznie szlifowane, zawsze o takich marzyłam, zaglądałam do nudnego Galluksu, a potem do komisju, gdzie na wystawie leżały nonszalancko rozrzucone austriackie bluzeczki w cieniowanych kolorach od bladego różu do bordo i od lila do granatu. Po niebie łążyły obłoczki, puszyste wilgotne tworzywa bez żadnych wyraźnych powinności wobec nieba i ziemi...

I nagle wydało mi się, że pośród dziesiątków kolorowych, niemal zmiksowanych postaci, ujrzałam Kogoś. Wysoki, smukły, ciemnowłosy chłopak to się pojawiał, to znikał w ciżbie. Ruszyłam za nim szybciej, by go dogonić, a nawet wyprzedzić, i zobaczyć, kto to jest. Jego poruszające się płynnie ramiona, chód lekki, a zarazem stanowczy, głowa o wydłużonym, oksycefalicznym kształcie, błękitny podkoszulek – wszystko to zadziało jak znak dla mnie i miało siłę hipnotyczną...

Strumień mojego istnienia, jeszcze przed chwilą leniwy i rozlewny, sprężył się nagle i ruszył do przodu, ku młodemu mężczyźnie idącemu energicznie deptakiem nadmorskiego miasta. Czułam, że muszę zobaczyć jego twarz. Co od tego zależało? Obrót gwiazd? Pokój na ziemi? O, jeszcze więcej. Tak przemożnego pragnienia, determinacji wręcz, nie czułam w sobie chyba nigdy wcześniej. Jakby tylko ten jeden człowiek mógł być odpowiedzią, wytchnieniem, rozwiązaniem. Odpowiedzią na jakie pytania? Wytchnieniem po jakich napięciach, niepokojach, trwogach? Rozwiązaniem jakich egzystencjalnych rachunków?

Tego wiedzieć nie mogłam, bo niewiele się wie, mając lat osiemnaście, chociaż przecież czuje się już wszystko, bo mniej więcej wtedy właśnie uzyskuje się dostęp do całej puli uczuć danych nam na życie. Ja miałam pewność, że czeka mnie niewiarygodnie ważne życie, pełne miłości i samotności, szczęścia i rozpaczy. Wierzyłam, że

aby osiągnąć pełnię, choć na krótko, muszę spotkać drugiego człowieka, dokładnie takiego samego jak ja, ale przeciwnej płci. Pomyśl to oczywiście starożytny, ale w młodości ma się ów niezwykle talent odkrywania na nowo odwiecznych prawd.

„Odwróć się” – powtarzałam w myślach, idąc za chłopakiem w błękitnym podkoszulku. Zaklinałam go, patrząc intensywnie w jego kark, opalony, okrągły. Te czary nieraz mi się udawały, ćwiczyłam je od dawna na przypadkowych ludziach. Należało mocno patrzeć i wypowiadać zaklęcie z uporem, ale zarazem tak, jakby nam na tym nie zależało, bocznym torem świadomości. Byłam tuż za nim, gdy odwrócił się wreszcie i nasze oczy się spotkały.

Na ułamek sekundy zapanowała cisza absolutna i zamarł wszelki ruch na świecie.

W jego spojrzeniu ujrzałam lasy, które przejdę, góry, na które wejść, miasta, które zwiedzę, sny, które prześnię. Mój los w jednej chwili odbił się w lusterkach żrenic, w ciemnych oczach obcego człowieka, jakby był tam zakodowany.

Lecz zaraz tłum znowu ruszył, wybuchł hałas, ruszyła taśma z filmem o bieżącej rzeczywistości, chłopak odwrócił wzrok, a ja poczułam się tak, jakbym właśnie została okradziona z pieniędzy całego życia. Bunt! Żal! Ból! Okazja minęła. Nie zatrzymałam go. Moje oczy nie dały się przeczytać. Nie nawiązaliśmy łączności. Okazałam się dla niego nic nie znaczącym elementem krajobrazu. Nigdy go już nie zobaczę. Pozostanę niespełniona, porzucona w niedoistnieniu i nikt nigdy nie dowie się, kim naprawdę jestem.

Przeznaczenie dało znak – po czym rozsypało się w drobny mak!

Stałam przez chwilę w rwącym nurcie własnych emocji i w prącej, w dwie strony naraz, rzece turystów na ulicy Monte Cassino.

Błękitny podkoszulek ostatecznie utonął w tłumie.

Przedostałam się na lewo, pod kino Polonia. Potem dotarłam do delikatesów, gdzie kupiłam zimną, zaparowaną butelkę coca-coli, bo upał był doprawdy nie do zniesienia. I zaraz poczułam, jak od tej butelki trzymanej w ręce lodowacieją mi kości przedramienia, aż po

łokieć, pod mięśniami, i jak to promieniuje aż do mózgu, przez który przeleciał mróz i błyskawicznie wychłodził przegrzane synapsy. Jednocześnie zamarzło i utrwaliło się w mojej głowie – jak matryca, wzorzec, model – marzenie o Wysokim Brunecie z Wydłużoną Czaszką, i Oczami Czarnymi jak Antracyt.

Z Pawłem chodziłam do jednego liceum we Wrocławiu. Wtedy nic nas nie łączyło. Jednak jakiś czas po moim wyjeździe do Sopotu, zimą, zaczęliśmy pisywać do siebie listy. To w listach zaczęłam nazwać go Pawiem. Zazwyczaj ludziom nieobojętnym odkształcam imiona, by lepiej przylegały do mnie.

Imię jest krótką melodyjką, przywołującą jedną duszę do drugiej. Powinna być szczególna i zaufana. Imię jest jak klucz, który ma dwa takie same końce i musi otwierać i mnie, i ciebie za jednym razem. Pisałam więc: Cześć, Pawiu! Lecz on odzywał się konwencjonalnie: Miła Haneczko. Mdlilo mnie od tej „Haneczki”, bo zaprawdę, żadna ze mnie Haneczka, nawet Hania, a nie daj Boże Hanusia. Pozostawałam więc jakby bezimienna. Zresztą odczuwałam to stale, bo słowo, którym ochrzcili mnie rodzice, nie przemawiało do mnie nigdy, było puste w środku, jak futerał bez instrumentu. Nie było w nim mojej melodii. Byłam więc dla siebie samym tylko inicjałem, Ha-literą, po której nie następowała żadna mojość. Koniecznie potrzebowałam jakiegoś fonicznego kodu, by złapać się za tożsamość. Czekałam na wynalazek, który otworzy mnie dla mnie samej i dla kogoś drugiego. Kiedy więc Paw za którymś razem rozpoczął swój list zawołaniem: Mój Haniele! – poczułam do niego prawdziwą sympatię i uznałam, że ma twórczy umysł, co dobrze rokuje na przyszłość. Niestety, owa przyszłość dość prędko zdegradowała mnie znów do poziomu Hani, a nawet Hańci...

Dlaczego Hańcia wyszła za mąż za Pawia? Prawdopodobnie dlatego, że wybrała się w drogę w poszukiwaniu swego imienia i – złądziła...